



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Remigiusz Wira

Darmowy parobek

Urodziłem się w 1929 roku na ziemi Wieluńskiej w województwie łódzkim w wolnej i niepodległej Polsce.

Na swej młodszej skórze dość dobrze odczułem, tak dziś „uwielbiane” czasy rządów sanacji w II RP. Niejednemu było bardzo ciężko bieda aż piszcziała. Było bezrobocie, ludzie chodzili do bogatych i prosili o wynajęcie ich na służbę za przyodziewek i strawę. Dziadów i żebraków było pełno, a najwięcej przed kościołami. Po polach kobiety chodziły i zbierały kłosa na wagę złota, były kłótnie o przyoraną miedzę handlowano nielegalnie kamykami do zapalniczek, sacharyną i eterem.

Dużo rodzin mieszkało na tzw. komornym. Moja pięciosobowa rodzina była szczęśliwa, bo mieliśmy własny dom zbudowany wysiłkiem rodziców za pracę w cegielni i częste wyjazdy do pracy do Niemiec na tzw. saksy.

Gdy w maju 1935 roku zmarł marszałek Józef Piłsudski, moja matka na znak żałoby starszym braciom Józefowi i Edwardowi, chodzącym do szkoły, obszyła krepą guziki. Mimo, że ja jeszcze nie byłem uczniem w mojej bluzce także to zrobiła.

Mimo biedy panował autentyczny patriotyzm. Wierzyliśmy, że jesteśmy jak plakaty głosiły: „Silni – zwarci – gotowi”.

Mój wrzesień 1939

Są wakacje. Jest piękny, pełen słońca sierpień, niebo bez chmur, pogoda wymarzona na wyjazd w góry lub nad morze. Niestety, to tylko marzenia. Rolnicy są już po żniwach, na polach tylko gdzieś stoją kopy zbóż. Jednak są dni niezwykle. Po drodze w stronę Bolesławca i Pryszyki, nad rzeką Prosną przesuwa się kolumny wojska. Tam przebiega granica państwa. Kolumny maszerują jedna za drugą, a za nimi biedki dwukołowe, tabory i armaty ciągnięte przez spocone konie. Naraz na komendę dowódcy „stój – wolno palić” kolumna rozprysła się jakby w nią piorun uderzył. Zaroiło się jak w mrowisku. Z boku, z tyłu i z przodu – wszędzie pełno żołnierzy objuczonych plecakami, karabinami. Każdy ma u boku bagnet, maskę przeciwgazową, hełm na głowie i owijacze na nogach. Na twarzach zmęczenie i pot, mundury mokre, pod pachami oszronione. Prosto ze studni przyniosłem wodę. Łapczywie pili ją i napełniali manierki. Jedne kolumny przychodziły, a drugie odchodziły. Dużo tego wojska szło na zachód do granicy odległej około 17 kilometrów od mojego domu. Mieszkańcy wsi mówili, że takich dużych manewrów dawno nie było. Ostatnie prowadzone były w 1936 roku, po

śmierci marszałka J. Piłsudskiego i też po żniwach. Ale wtedy nic się nie mówiło o szpiegach. Wśród moich rówieśników zapanowała mania tropienia niemieckich szpiegów, każdy chciał się wyróżnić spełnieniem patriotycznego obowiązku, ale jakoś nie udawało się nam to polowanie.

Dziwne to były manewry, jedno wojsko maszerowało na zachód do granicy, drugie odwrotnie, na wschód. Mówią, że są luzowani i maszerują aż za rzekę Wartę. W przerwie marszu jakiś oficer pochwalił się wieśniakom, że w miejscowości Praszka przebywa marszałek Polski E. Rydz-Śmigły. Nam chłopcom zrobiło się żal, że nie możemy go zobaczyć. Bo co innego jest w szkole patrzeć na jego portret, a co innego widzieć go żywego.

Wakacje się kończą, zbliża się 1 września 1939 roku, trzeba szykować się do 4 klasy szkoły powszechnej. Mama wszystko przygotowała mi nowe – fartuszek, lnianą torbę, zeszyty, cyrkiel, gumkę oraz obsadkę ze stalówką krzyżówką i świeżo zakupione podręczniki. O dziwo, te podręczniki, mimo wielu życiowych zawieruch i przeprowadzek, przechowuję do dziś w mojej bibliotece. Niby nic sienie działo, żyło się normalnie, ale w pewnym uśpieniu i w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. Pamiętam słowa: „jesteśmy zwarci i gotowi, nie oddamy guzika, nie damy Gdańska, ani korytarza”.

W piątek 1 września rankiem niesamowity ryk samolotów zerwał nas ze snu. Wybiegamy na dwór. Nareszcie rozpoczęły się prawdziwe manewry. Stoimy na drodze, a tu na bardzo niskiej wysokości przelatuje samolot i przechyla się na skrzydło ku ziemi. Widać na nim czarne krzyże. Przerzywa wiszące przy drodze druty telefoniczne, a z wysokiej gruszy obłamuje się duża gałąź obsypana cukrówkami.

Od strony Wielunia słychać głuche wybuchy. Nad nami lecą następne eskadry bombowców. Nad Wieluniem widać łunę ognia z czarnym dymem, słychać znów wybuchy. Bardziej doświadczeni mężczyźni twierdzą, że to nie manewry, a prawdziwa wojna. Ojciec w radiu na kryształku szuka warszawskiej fali. Gdy już znalazł potwierdza, że Niemcy napadli na Polskę, że rozpoczęła się wojna. Ludzie przestali bajdurzyć o manewrach.

Sąsiad Józef Mamzerowski siada na rower i pędzi do Wielunia. Tam w szpitalu jego żona ma rodzić. Gdy zajechał, zastał żonę z dzieckiem – Micią – w pieluchach i w nocnej koszuli w przydrożnym rowie. Uciekła w porę ze szpitala, gdy usłyszała pierwsze wybuchy. Mimo, że personel szpitala szybko oflagował budynek znakami czerwonego krzyża – został zbombardowany. Wieluń był pierwszym zbombardowanym miastem powiatowym w II RP.

I takie to ja miałem rozpoczęcie roku szkolnego 1 września 1939. Zamiast szkolnego dzwonka, zabrzmiał huk bomb, padali zabici i ranni, płonęły domy, lekcji w szkołach nie było, rozpoczęła się natomiast lekcja II wojny światowej.

Osobiście nie specjalnie przeżywałem rozpoczęcie wojny. Więcej było zaciekawienia niż lęku. Wydawało mi się, że nic złego się nie stanie i chciałem jak najszybciej zobaczyć, jak wyglądają niemieccy ludzie, żołnierze. Ludzie byli zdezorientowani, nie wiedzieli co robić ze sobą, a ja byłem obojętny na strach.

Mąż siostry ojca, sierżant Klemens Moczulewski, był tzw. zieloną w Straży Granicznej i pełnił służbę na posterunku na granicy w mieście Gola za Syciwem. Około południa na służbowym rowerze przyjechał do nas i opowiadał jak Niemcy zaatakowali strażnicę, zmuszając ich do ucieczki. Wspominał, że są zabici i ranni.

Na naradzie rodzinnej postanowiono, że mężczyźni uciekają za rzekę Wartę, a kobiety z dziećmi zostają na miejscu, z tym że na czas przesuwania się frontu ukrywają się z dala od głównej drogi. Tak postanowiono i tak zrobiono. Ojciec z innymi mężczyznami uciekł za rzekę. Wyjechał z domu także 18-letni brat Józef, tyle że na wschód. Przeszedł Wisłę, Bug i dotarł na rowerze aż na kresy wschodnie do miasta Sarny. Ponieważ 17 września 1939 roku Armia Czerwona zadała cios „nożem w plecy Polsce”, więc ze wschodu zaczął uciekać z powrotem na zachód i po miesiącu tułaczki wrócił do domu.

Pamiętam jak ewakuował się nasz sąsiad, pan Lewicki. Zapakował co cenniejsze rzeczy z pierzyną włącznie na jednokołową, drewnianą taczkę i zapchał ją aż pod Łódź. Po kilku dniach tą samą taczką wrócił do domu. Ten fakt był przez wiele lat przedmiotem wielu opowiadań i dowcipów.

Noc z piątku na sobotę to znaczy 1/2 września 1939 roku spędziliśmy 2 kilometry od domu na tzw. Pólku, gdzie są tylko dwa zabudowania. Noc minęła spokojnie. Czekamy na przejście frontu. W sobotni poranek słońce oświetla łunę pożaru nad Wieluniem. Wydaje się nam, że jesteśmy w strefie niczyjej, naszego wojska jakoś nie widać. Poranną ciszę zakłóca ujadanie psów. Na horyzoncie widzimy dziwne sylwetki, przemykające się chyłkiem w naszą stronę. Są już wśród nas. To są Niemcy. Szwargocą coś między sobą, my ich nie rozumiemy. Ale jest wśród nas starszy pan, co jeździł na „saksy” i zna język niemiecki. Pytają go, czy tu są żołnierze WP, Przez lornetkę obserwują „wroga” i położoną dalej wieś Turów oraz niedaleko płonący Wieluń. My wiemy, że tam są jeszcze nasi żołnierze. Niemcy zaczęły ostrzeliwać wzgórza. Odpowiedział im polski terkot kaemu. Niemcy zaczynają się okopywać. Z zainteresowaniem oglądam ich wyposażenie i czynności. Wcale się ich nie boję, to są normalni ludzie. Mają inną broń i hełmy i inny język. Od strony wsi jedzie na motocyklach kilku żołnierzy. To nie Polacy, to też są Niemcy. Dziwne, że nie mają żadnych koni. Znów zaczyna się strzelanina. Wszyscy leżą na ziemi, tylko ja „kulom się nie kłaniam” i obserwuję jak strzelają nieprzyjacielskie kaemy. Naraz jeden

niemiecki żołnierz chwyta mnie za barki i przewraca na ziemię, grożąc palcem. Gdy ze strony polskiej zaczął terkotać kaem uświadomiłem sobie, co mi grozi od polskiej kuli. Kim był ten żołnierz Wehrmachtu – nie wiem. A może jeszcze żyje? A może to był tylko instynkt dobrego Niemca – homo sapiens. W tej potyczce ogniowej zginął jeden oficer WP. Jego mogiła jest na honorowym miejscu na cmentarzu w Chotowie. Z woli niemieckiego żołnierza leżąc na ziemi, rozmyślałem i miałem utajony żal, że nie urodziłem się drugiego września, a drugiego października 1929 roku. Gdybym zginął, miałbym równe 10 lat życia.

Nastała cisza. Polacy się wycofali, a Niemcy idą w stronę Wielunia nie napotyając dalszego oporu.

W połowie dnia 2 września wracamy do domu. Po drodze widzimy wysadzony przez polskich saperów kamienny mostek – przepust na rzece Pyszna w Krzyworzece. W domu wszystko jest na miejscu, nic nikt nam nie ukradł. W naszym rejonie nie było frontu jako takiego – ze strzelaniem i natarciami. Jednak w pamięci mojej na zawsze pozostaną wspomnienia przeżyć – „dnia pierwszego września roku pamiętnego wróg napadł na Polskę.

Zaczęła się okupacja i inne życie. Dzięki Adolfowi Hitlerowi w moim życiu nastąpiły „fajne czasy”. Nie musiałem słuchać ani ojca, ani matki. Ojca wywieziono na roboty przymusowe do Tyrolu, a matkę do Francji. Przez 5 lat nie musiałem chodzić do szkoły, nie byłem ani razu u lekarza, mimo że miałem kilka razy wysoką temperaturę. Przez 5 lat nie chodziłem do kościoła, bo na terenie Warthegau wszystkie były zamknięte, ale w zamian za to często widziałem napisy „Gott mit uns”. Byłem po prostu przymusowo zatrudniony u Niemca, pana Augusta Schulza.

Byłem untermänchem

Warunki miałem nie do pozazdroszczenia. Początkowo mieszkałem z babką Marią, która była schorowana i miała 75 lat. Wkrótce jednak zmarła, a ja od marca 1940 roku do stycznia 1945 roku pracowałem i „mieszkałem” u wspomnianego Niemca jako tzw. parobek. Latem spałem na strychu obory na sianie, zimą na pryczy pod derką w pomieszczeniu gospodarczym, gdzie codziennie parowałem w kotle ziemniaki dla trzody chlewnej. Od świtu do późnej nocy, w świątek i piątek pracowałem w polu i gospodarstwie. Po polsku nie wolno mi było mówić. Jako tako nauczyłem się „szwargotać” po niemiecku. Jeszcze dziś rozmówię się z Niemcem. Kilka razy byłem bity za rzekome niezdiscyplinowanie. Siedziałem w areszcie na posterunku żandarmerii w Mokerfeld (Mokrsku) za jazdę na rowerze w dwójkę na ramie i za to, że nie pozdrowiłem żandarma słowami: „Heil Hitler”. Żadnego wynagrodzenia nie otrzymywałem – prócz jedzenia i starej przechodzonej odzieży. Zimą chodziłem w modnych dziś „drewniakach”.

Warunki pracy i życia zmieniły się na lepsze dopiero w 1943 roku, po klęsce feldmarszałka Paulusa pod Stalingradem oraz po zamachu na Hitlera w lipcu 1944 roku. Wołano mnie na obiad, gdzie mogłem siedzieć z Niemcami przy jednym stole. Przeniesiono mi również spanie z parownika (strychu) do pokoju. Od czasu do czasu dostawałem kieszonkowe w wysokości 5-10 marek. O dziwo, jako młodocianego częstowano mnie papierosami o nazwie „Juno”. Będąc Polakiem traktowany byłem zgodnie z obowiązującą w III Rzeszy ideologią to znaczy jako untermensch, przeznaczony do wynarodowienia.

Mam jeszcze jedno przykre wspomnienie. Jest jesień 1944 roku. Mży i jest ciemno. Robię coś na podwórku. Naraz widzę, że ktoś mignął koło stodoły. Widzę dwie osoby jak otwierają z haczyka furtkę i szybko wskakują do środka. Ogarnia mnie ciekawość i jednocześnie lęk. Nie wiem kto to może być, nie wiem co robić, czy iść za nimi do stodoły, czy poskarżyć się gospodarzowi – Niemcowi A. Schulzowi. Postanowiłem nikomu nic nie mówić. Na drugi dzień dowiedziałem się od starszych i mądrzejszych, że to byli uciekinierzy z Powstania Warszawskiego, bo podobnych sytuacji było na terenie Warthegau więcej. Ja nie domyślałem się, że to są powstańcy i że chcą pomocy. Z kolei oni, obserwując mnie w obejściu sądzili, że jestem synem Niemca. Mogę tylko żałować, że nie miałem wówczas tyle rozumu co dziś.

Ostatnie dni wojny

Ofensywa Armii Czerwonej w styczniu 1945 roku wywołała wśród przesiedleńców strach i panikę. Wszyscy gwałtownie zaczęli przygotowywać się do opuszczenia polskich gospodarstw. Organizacją i ochroną ewakuacji, a właściwie ucieczki, kierował posterunek żandarmerii i Volksstrum. Wszystko co możliwe – spakowane. Chleb, mięso, ciasto – załadowane na wóz konny. Tuż przed odjazdem powstał problem, kto powiezie gospodynię? Mąż i dwaj synowie zostali wcieleni do Volksstrumu – przygotowywali rubież obronną na Warcie. Żandarmi zmusili mnie do ucieczki razem z Niemką. Ubrano mnie w lepszą odzież, nałożono koszulę z odznakami Hitlerjugend, na to kozuch i kazano jechać w kolumnie.

Trasa wiodła na zachód przez Bolesławiec, Kępno, do Wrocławia, gdzie planowano załadować kolonistów do pociągu, a ja miałem wrócić konno do Mokrska. Do dziś widzę obraz tej ucieczki. Panował niesamowity strach, rozpacz, modły i pijaństwo. W płaczu powtarzano słowa „mein Gott”, „mein luber Mokerfeld” (mój Boże, moje kochane Mokrsko). Na trasie opustoszałe wioski. W obejściach, w oborach nie widać nikogo. Po kilkunastu kilometrach, przed Kępnem, w Słupi rozgorzała strzelanina. Nikt nie wie kto ostrzeliwuje kolumnę. Powstaje panika, zawracanie wozów, łamanie dyszli, płacz i krzyk. W moim zaprzęgu, a powozilem bryczką z Niemką i jej dwójką dzieci, złamała się rozwora. Przesiadka na inny wóz. Kontynuujemy ucieczkę na południe pod las, do Marianki. Tu dłuższy odpoczynek i nocleg. Uradzono, że raniem pojedziemy do Wrocławia.

Las, noc, łuny pożarów wywołują lęk i niesamowity nastrój. W czasie pojenia koni namawiam kolegę, aby towarzyszył mi w ucieczce. Zabieram z wozu do kieszeni kotlety mielone, chleb, papierosy „Juno” i do lasu! Idziemy drogą na wschód, pod słońce. Nagle ktoś strzela do nas z automatu, padamy do rowu, znów idziemy. Jesteśmy koło Opatowa pod Bolesławcem. Podchodzą do nas jacyś dziwni żołnierze z automatami w rękę i wołają „Germańcy!” Nie zdając sobie sprawy, że przechodzę linię frontu, przyzwyczajony do komendy „Halt, hende hoch” – podniosłem ręce do góry i odpowiadam: „Ich bin nicht German. Ich bin Polen”. Następuje rewizja, nie mamy żadnych dowodów polskości. Bluza z symbolami Hitlerjugend pogarsza sytuację. Doprowadzono nas do oficera i sprawa się wyjaśniła. Jesteśmy wolni.

To był mój ostatni dzień podczas okupacji na ziemi wieluńskiej.

Zakończenie

Mimo upływu kopy lat od wybuchu II wojny światowej nie mogę do dziś zapomnieć wielu określeń i zwrotów języka niemieckiego, którego słuchałem przez 5 lat. Ciągłe przypominają mi się: Halt!, Hende hoch!; Polnische Schwein; Nur fur Deutsch; Banditen; raus raus; Verfluchter Hund i inne.

W czasie 5 letniej przymusowej pracy u Niemca bałem się każdego umundurowanego człowieka – żandarma, członka SA, SS, a nawet mojego rówieśnika z Hitlerjugend.